



JERZY BRAUN.

RYSOWAŁ A. ŻMUDA.

## ROZDZIAŁ I.

## Centralopolis!

Gwiazdy zagasły...

Gdzieś, daleko we mgłach krzyżowały się szlaki pasażerskich okrętów. Przeciągłe, monotonne gwizdy przecinały ciszę poranną i milkły zaraz wchłonięte przez blade tumany mgieł. Włóczących się po morzu.

Łopot śruby był przytłumiony i głuchy, jak terkotanie budzika ukrytego pod poduszką. Z tyłu, za sterem bulgotała, gotowała się woda w głębokiej bruździe długim ogonem ciągnącej się za statkiem. Parowiec przebijał się wolno swoim stalowym dziobem przez opalowe chmury mgieł, ostrożnie, poomacku, od czasu do czasu dając przeraźliwe sygnały mającej się widmo okrętów. W płucach jachtu oddechały ciężko spracowane piece.

Zerwał się silny, chłodny wiatr i począł dąć potężnie, zdmuchując ustami olbrzymia mleczno-białe kożuchy mgieł z powierzchni wody. Morze rozkołysało się nagle i długimi, łańcuchami pobiegła ku szarzącym na horyzoncie pasmom ładu wysoka, pienia się fala. Mewy krzyżąc przelatywały nad pokładem.

Na statku budził się ruch i zgłęb poranny... Ostre, gardłowe okrzyki uwijających się majtków, tupot biegających nóg, łoskot przesuwanych skrzyń i przetaczanych beczek, brzęk naczyń w kuchni okrętowej i ochryple, fałszywe zawrodożenie murzyna-kucharza. Na pokład wychodzili leniwie z kajut zaspani pasażerowie. Po stalowej drabince piał się na pomost kapitan...

Edgar Smith już dawno był na pokładzie...

Wychylony przez poręcz obserwował cierpliwie balansujące na falach piany i z rozkoszą wdychał pełną piersią świeże, poranne powiewy. Zdjął biały hełm kolonialny z głowy, by wiatr swobodnie mógł dmuchać mu w czuprynę i śmiać się do rozkwitającego poranka jak mały, rozpromieniony chłopiec.

Pod jego czaszką huczał marsz powitalny...

Muskuły ramion drgały mu, tak jakby chciały objąć tę podbiegającą ku niemu z za horyzontów ziemię i przytulić ją do piersi mocnym, braterskim uściskiem.

Wracał...

Nie było to właściwie nic niezwykłego — i powtarzało się dość często. Ileż to razy już opuszczał to wielkie, ukochane miasto i dudnił piętami po deskach pasażerskich okrętów, wylatując jak ptak wędrowny na pełne morze ku pełnym dziwów i upoiń szlakom zamorskich podróży. Ale zawsze wracał z tem samym uczuciem dziecinnego rozradowania i szczęścia, jakby ta stara, tak dobrze mu znana stolica miała go obdarować jakimś przesłicznym, niesłychanym prezentem, czemś, od czego teraz dopiero zacznie się nowe, przepiękne, olśniewające życie.

Smith był aktorem filmowym.

Jego pociągła, szczupła twarz o charakterystycznych rysach i mądrych, głębokich oczach odbijała jak zwierciadło każde drgnienie psychiczne, każde wrażenie, każdą zmianę nastroju. Fotogeniczność tej twarzy rzucała się odrazu w oczy. Doskonałym i pełnym subtelnego artyzmu było każde ściągnięcie brwi, zmruczenie oczu i każdy ruch tej przepysznej głowy. Każdy gest był pełen plastyki i harmonji, każda poza jaką przybrało to giętkie, elastyczne ciało była śmiała, swobodna i piękna, jak szkic genialnego malarza. Smith grał, grał ciągle, tak jakby przed nim o każdej porze dnia i w każdym momencie jego prywatnego życia stał operator z aparatem i „kręcił”. Ale ta gra była tak naturalna i prosta, tyle w niej było niedbałego wdzięku, tak przesiąknięty był nią każdy nerw tego „filmowego człowieka”, że nawet najwprawniejsze i najkrytyczniejsze oko, nie dopatrzyłoby się w niej ani cienia przesady i przymusu. Całe życie jego było grą, jego bohaterską rolą, a gra największą rozkoszą i potrzebą jego życia.

Sława jego rozbrzmiewała po wszystkich zakątkach północnej i południowej półkuli. W każdym mieście stołecznym, czy miasteczku, w każdej najbrudniejszej chińskiej, czy japońskiej dzielnicy portowej, w każdej wędrownej budzie filmowej Dzikiego Zachodu, jednym słowem wszędzie, gdzie sięga panowanie srebrnego ekranu powtarzano nazwisko jego z podziwem i entuzjazmem. Kobiety kochały się w jego wizerunku na ekranie, mężczyźni wołali na jego widok: „All right” — „Banzaj” i „brawo”! — Wytwórnice walczyły o niego i obsypywały go deszczem dolarów, bo nazwisko jego zapewniało każdemu obrazowi najświetniejsze powodzenie i tryumfalny pochód przez wszystkie kinoteatry świata. Takim był Edgar Smith.

Dziś wracał do ojczyzny, do rodzinnego Centralopolis po szeregu gościnnych występów w rozmaitych krajach Azji i Ameryki, gdzie zaprosiły go największe i najbogatsze wytwórnice wyświetlające nowe obrazy.

Wszedł do restauracyjnej sali, zjadł pośpiesznie śniadanie i przerzuciwszy nerwowo karty jakiegoś ilustrowanego piśmida wyjrzał powtórnie na pokład...

Morze grało feerją barw, jak czarodziejska bajka...

Wschodziło słońce.

— Panie Smith!

Obejrzał się.

Na wysokim pomoście kapitan, młode, świetnie zbudowane chłopczysko, o twarzy spalonej na brąz przez wichry morskie zabawił się rozmową z damami. Jedną z nich, miss Alicja, wielbicielek Edgara i najsympatyczniejszą z towarzyszek podróży, wzywała go do siebie przykładając dłoń do cudnie wykrojonych usteczek.

Smith podszedł ku nim.

— Witamy wschodzące słońce i jak marynarze Kolumba wołamy: Ziemia! Ziemia! — mówiła miss Alicja podając mu dłoń na powitanie w mocnym, serdecznym uścisku. — Kapitan zbudził nas wcześniej, byśmy nie przespały tryumfalnego wjazdu naszego morskiego rydwanu w bramy Centralopolis, za co jesteśmy mu niezmiernie wdzięczne. Spojrz pan, panie Edgarze...

Podała mu lunetę.

Smith przyłożył szkła do oczu i spojrzał ciekawie.

Obraz był wspaniały. Miasto Gigant, olbrzymia stolica świata wynurzyło się zwolna z za kołyszącej się fali, wyrastało, jak fatamorgana, rozkwitało w słońcu jak kolorowa, podzwrotnikowa puszcza, strzelając w niebo gęstwiną wież, kopuł, pomników i fabrycznych kominów. Jak łańcuch górski pięły się coraz wyżej w niebo szeregi stupiętrowych drapaczów i napowietrznych budowli reklamy. Bliżej w porcie las masztów, straszliwa płatanina kształtów, czarne kadłuby drednotów, torpetowców i stłoczone stada pasażerskich i handlowych okrętów. Tu i ówdzie smugi dymu unosiły się, jak wyziewy oddechu spracowanego tytana.

— Oto Centralopolis! — szeptał do siebie zachwycony i olśniony Smith i spazm wzruszenia, coś jakby nagły porryw patriotycznej dumy chwycił go za gardło. — Oto Centralopolis!!

— Imponujące, prawda? — wołały damy.

Kapitan zęgnął się, salutując grzecznie i odszedł na stanowisko. Na pokładzie parowca w miarę zbliżania się do portu wzrastał się ruch, pośpiech i podniecenie pasażerów. Tłum mężczyzn, kobiet i dzieci stłoczony u burty hałasował, rozprawiał, gestykulował, obserwując przez lunety kolosalną stolicę.

Smith zęgnął się z towarzyszkami podróży.

— Nareszcie jesteśmy u celu, ale smutno nam, panie Edgarze, że powoduje to zarazem smutną konieczność rozstania — mówiła ze szczerym żalem w głosie miss Alicja. —